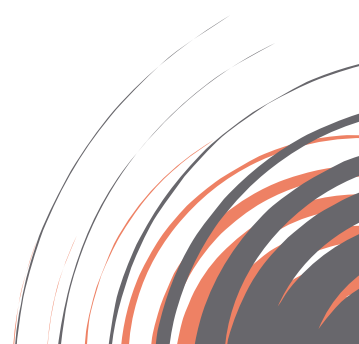




- nagrody miasta:
- zbigniew podsiadło
- zbigniew zdzienicki
- krzysztof brzozowski
- adam pacholek
- marcin pilis - proza
- krystyna borkowska - wiersze

NAGRODY SOSNOWCA 2009

ZBIGNIEW PODSIADŁO

NAGRODA ARTYSTYCZNA

Pisać o Zbyszku Podsiadło na łamach SOSNartu jest trudno. Artysta przecież jest niemal stale obecny na stronach pisma. Współpracuje z redakcją blisko i owocnie. Serdecznie gratulujemy Nagrody!

Głównym nurtem twórczości utytułowanego sosnowieckiego fotografa Zbigniewa Podsiadło jest problematyka społeczna. Na swych zdjęciach ukazuje on świat, szczelnie ukryty za billboardami, reklamującymi telefony i krem na zmarszczki. Widzimy zaniedbane podwórka, blokowiska, dzieci ulicy i starców. Artysta nie idzie jednak w drugą skrajność - nie czyni brzydoty tematem swoich zdjęć. Po prostu pokazuje świat takim, jakim on jest.

Odrapane mury wznoszą się nad ulicami brukowanymi kocimi łbami, chodniki ograniczone krawężnikami z kamienia, poobdzierane afisze - określają materialność tych miejsc w sposób niemal bolesny, nie dający szans na wyślizgnięcie się zastanej przez nas czasoprzestrzeni. Dosłowność zdjęć Zbigniewa Podsiadło jest tak sugestywna, że szukamy palcami nagrzanych powierzchni kamieni, oddychamy głębiej, spodziewając się poczuć w gardle krztuszący kurz ulicy. A jednak zastosowane przez artystę środki wyrazu nadają tym obrazom wymiar ponad-

czasowy. Zachmurzone tajemniczo niebo, przydymione światło i skradające się cienie otwierają okno metafizyki. W tym kontekście wszystkie motywy nabierają znaczeń, przydanych im przez kulturę indoeuropejską - kulturę artysty i odbiorcy tej sztuki.

Oto ulica staje się drogą - odwiecznym symbolem życia człowieka. Odrapane mury oznaczają upływ czasu, przemijanie, starość i śmierć. Budynki są jak ciała człowieka, na którym czas zostawia rany, rozgryza je i mieli na proch, osiadający na ulicach. Nasze osobiste doświadczenia dodają fotografiom kolejnych wymiarów: chropowaty ceglany mur ze zdjęcia Zbigniewa Podsiadło przywołuje na pamięć tamten mur z przeszłości, który znał pierwszy pocałunek, pierwsze rozstanie, a może pierwszy powrót. Realność miejsca staje się odskocznią zarówno dla szerszych rozważań, jak i osobistych refleksji.

W twórczości Zbigniewa Podsiadło fascynująca jest lekkość, z jaką artysta uzyskuje w swoich zdjęciach głębie znaczeń, nie odwołując się do aranżowania scen ani plenerów.

Jakże trudno czasami uwierzyć, że człowiek lub pies przeszedł zupełnie przypadkiem właśnie tą drogą, która była niezbędna, aby stworzyć idealnie zakomponowane ujęcie. Jak łatwo artysta zmienia te prozaiczne motywy w nośniki znaczeń! Sytuacje, które dla kogoś innego stałyby się materiałem dla prostej rejestracji, w obiektywie Zbigniewa Podsiadło przekształcają się w artystyczną metaforę na temat spektrum istnienia świata.

A wszystko to ujęte w ramy niezwykle wysmakowanej estetyki. Zrównoważenie kompozycji, precyzja diagonalnie prowadzonych linii, kontrasty fakturowe i temperaturowe budują scenerie niczym pędzel któregoś z „dawnych mistrzów” wielkiego europejskiego malarstwa. Oglądając zdjęcia tego artysty stale mam wrażenie kontaktu z dziełem, nad którego powstaniem autor miał nieograniczoną kontrolę, którego wizję miał w głowie na długo, zanim wziął do ręki narzędzie swej pracy, które w procesie tworzenia uzyskało formę skończoną i w zupełności zgodną z zamysłem autora. Zastosowanie względem zdjęcia wszelkich zasad tradycyjnego malarstwa ubogaca sztukę fotografii, nie odbierając jej specyficznej tylko dla niej wartości, jaką jest autentyczność obiektu. Artysta łączy to, co najwartościowsze w obu tych dziedzinach sztuki.

Fotografie Zbigniewa Podsiadło, jak każde dzieło, okazują się być wielowymiarowe i wieloznaczne, zależne od wrażliwości odbiorcy a przy tym poruszają ponadczasowe tematy egzystencji i przemijania.

Małgorzata

Malinowska-Klimek



Zbigniew Podsiadło - z cyklu "Tożsamość Miejsca"

NA OKŁADCE FOT. Z. PODSIADŁO „AKT Z OKNA MI"

SOSNart

Bezpłatny dodatek do Kuriera Miejskiego
Czasopisma Samorządowego Sosnowca
Wydawca: UM Wydział Kultury i Sztuki.

ul. S. Małachowskiego 3,
41-200 Sosnowiec
tel.: (032) 296 06 47
email: sosnart@um.sosnowiec.pl

redaktor prowadzący:
Tomasz Kostro
projekt graficzny i skład :
Ryszard Gęsikowski

Plastyka i fotografia interesowały mnie od dzieciństwa

Z LAUREATEM NAGRODY MIASTA W KATEGORII UPOWSZECHNIANIA KULTURY, ZE ZBIGNIEWEM **ZDZIENICKIM**

rozmawia toko

toko: Gratuluję serdecznie. Znamy się od lat, więc wiem, że ktoś taki jak Pan zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Zbigniew Zdzenicki: Dziękuję. O honory nigdy nie zabiegałem. Po prostu robiłem zawsze to, co uważałem za właściwe, co mnie interesowało, pasjonowało, ale także stanowiło wyzwanie.

toko: Z zawodu jest Pan nauczycielem, prawda?

Zbigniew Zdzenicki: Tak. Już od wielu lat emerytowanym. W wyborze zawodu przeżyło zainteresowanie techniką i rodzinne, nauczycielskie tradycje. Gdy kończył się czas zawodowej (pedagogicznej) aktywności, postanowiłem powrócić do wcześniejszych zainteresowań i rozwijać je wspólnie z tymi, którzy część swego życia chcą poświęcić malowaniu i wykonywaniu fotografii. I tak 12 lat temu zaistniała działalność, funkcjonująca dziś pod nazwą Grupa Plastyczna „Relacje”.

toko: Właśnie. Proszę o dwa zdania o początkach.

Zbigniew Zdzenicki: W 1997 roku rozpocząłem działalność gospodarczą pod nazwą „Spotkania z Plastyką”. Instrukтором grupy został pan Jerzy Raszka. W pracach, w organizowanych przez nas plenerach i zajęciach warsztatowych uczestniczyli aktywnie tacy artyści jak Ryszard Serwicki i w końcu Czesław Gałuszny, który jest naszym obecnym, wieloletnim, niezwykle oddanym i kompetentnym opiekunem artystycznym.

toko: A związki z drugim tegorocznym Laureatem, ze Zbigniewem Podsiadło?

Zbigniew Zdzenicki: Zbigniew Podsiadło jest opiekunem artystycznym „Stowarzyszenia Miłośników Fotografii” w Sosnowcu, w którym to Stowarzyszeniu działam, byłem jego inicjatorem i pierwszym prezesem. To drugi, bliski pierwszemu, obszar moich zainteresowań. Organizujemy wspólne plenery i wystawy.



„NA MARIACKIEJ” FOTOGRAFIA

toko: Obie grupy od dawna są widoczne w mieście i poza Sosnowcem. Przewinęło się przez nie wiele uzdolnionych osób, z wieloma miałem przyjemność wielokrotnie spotykać się przy różnych okazjach. Co zamierzacie dalej?

Zbigniew Zdzenicki: W nowej siedzibie Klubu im. Jana Kiepury mamy pracownię do dyspozycji „Relacji” i SMF, co niezmiernie ułatwi działalność. Długo na to czekaliśmy. Spodziewam się efektywnego rozwoju. Nosimy się z zamiarem powołania organizacji o osobowości prawnej, co umożliwi realizację wielu naszych projektów.

toko: Życzę dalszych sukcesów i raz jeszcze serdecznie gratuluję.



„MARTWA NATURA” OLEJ

NAGRODY SOSNOWCA 2009



Od lewej: Paweł Dusza, Mieczysława Szulc, Jolanta Szczurek, Ryszard Łukawski, Daniel Mikłasiński.

Gala rozdania Nagród Miasta odbyła się 30 marca. Było podniosłe i uroczyste. Przybyli liczni laureaci Nagród przyznanych w poprzednich latach, były władze miasta z Prezydentem Kazimierzem Górskim i Przewodniczącym Rady Miejskiej Danielem Mikłasińskim na czele, Wicemarszałek Województwa Zbyszek Zaborowski, PT postowie, radni, przedstawiciele instytucji kultury w mieście, artyści, profesorowie.

Na estradę zostali poproszeni Laureaci. Nagrody i statuetkę, której projektantem jest Andrzej Czarnota, wręczali Prezydent Kazimierz Górski i Przewodniczący Daniel Mikłasiński. Wraz z Nagrodą i kwiatami posypały się gratulacje, i podziękowania. Szczególnie ciepło gratulował Prezydent wyróżnienia swemu byłemu nauczycielowi Zbigniewowi Zdzenickiemu.

Niejako przy okazji Gali władze miasta i zgromadzona na sali publiczność podziękowała odchodzącym niebawem na emeryturę dwóm szczególnie dla kultury w mieście zasłużonym osobom: Mieczysławie Szulc, wieloletniej dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Gustawa Daniłowskiego oraz Jolancie Szczurek, kierującej przez dziesięciolecie Klubem im. Jana Kiepury. Tym paniom i kierowanym przez nie instytucjom poświęcimy więcej miejsca w następnych numerach.



SIEDZĄ LAUREACI. Od lewej: Zbigniew Podsiadło, Zbigniew Zdzenicki, Adam Pacholek, Krzysztof Brzozowski. Stoją: Daniel Mikłasiński i Kazimierz Górski.



FOTO. DARIUSZ KINDLER

Galę zakończył recital pochodzącej z Sosnowca Agnieszki Chrzanowskiej, utalentowanej piosenkarki, kompozytorki i aktorki o dużej już sławie, która swe związki z miastem pochodzenia podkreśla przy wielu okazjach. Bez trudu zdobyła sympatię publiczności pięknym głosem i ujmującą interpretacją. Agnieszka Chrzanowska wykonywała przede wszystkim utwory ze swej najnowszej płyty „Bez udziału gwiazd”.

Galę prowadził aktor Teatru Zagłębia Grzegorz Kwas.

Raz jeszcze serdecznie gratulujemy tegorocznym Laureatom i życzymy wielu sukcesów w przyszłości.

red.



ADAM PACHOLEK

NAGRODA W KATEGORII NAJLEPSZY SZKOLENIOWIEC SPORTOWY.

Osoba Adama Pachółka została zgłoszona przez Zarząd UKS „Kazimierz-Płomień”. O były zawodnik, aktualnie trener i działacz sportowy. W 2003 roku założył Klub UKS „Kazimierz-Płomień” (wówczas Klub nosił on nazwę „12-Polska Energia” aby kontynuować wspaniałe tradycje sosnowieckiej siatkówki. W roku ubiegłym zespół „Płomienia” wywalczył awans do III ligi pokonując bardziej doświadczonych rywali. W sezonie 2009/2010 drużyna walczy o awans do II ligi.

Adam Pacholek jest trenerem pary zawodników Wojtasik - Leżnicki, która to para wywalczyła brązowy medal Mistrzostw Polski Juniorów oraz złote medale na Mistrzostwach Europy do lat 19 w siatkówce plażowej. Adam Pacholek pełni również funkcję trenera drużyny seniorów oraz obowiązków wiceprezesa Zarządu.



KRZYSZTOF BRZozowski

NAGRODA W KATEGORII NAJWYBITNIEJSZY SPORTOWIEC

Lekkoatleta, zawodnik Klubu MKS-MOS „Płomień” Sosnowiec zgłoszony przez zarząd. Krzysztof Brzozowski uprawia przede wszystkim dwie dyscypliny: pchnięcie kulą i rzut dyskiem. Mimo młodego wieku może poszczycić się sukcesami na arenie ogólnopolskiej i międzynarodowej. W 2009 roku wywalczył tytuł Wicemistrza Polski Juniorów w Halowych Mistrzostwach Polski oraz tytuł Wicemistrza Świata Juniorów w pchnięciu kulą w Bressanone we Włoszech. Był to jedyny medal dla Polski w tych zawodach. Jednocześnie poprawił rekord kraju w pchnięciu 5. kilogramową kulą. Wynik 21,60 m dał mu I miejsce podczas Ogólnopolskiej Olimpiady w Krakowie. Krzysztof Brzozowski jest reprezentantem Polski juniorów.



20 LAT RP.pl. NASZA HISTORIA

Autorzy: Witold Bereś, Krzysztof Burnetko

Wydawnictwo: Świat Książki 2009

Książka wydana z okazji dwudziestolecia istnienia kolejnej Rzeczypospolitej, zawiera opisy przełomowych wydarzeń lat 1989-2009, a powstała w ramach projektu „Pochwalmy się”, który można podejrzeć na stronie: www.20latrp.pl.

Publikacja już od pierwszych stron... cieszy i napawa dumą. Po przeczytaniu kolejnych kilkunastu stron zaczyna do nas docierać, że jako Polacy faktycznie mamy się czym pochwalić nie tylko przed sąsiadami, ale i przed całym światem. Autorzy niedowiarkom podają nawet pełną listę faktów, których nie możemy się powstydić.



NIEKOMPLETNOŚĆ

Autor: Grzegorz Gortat

Wydawnictwo: Nasza Księgarnia 2010

Świadomy swojej przemijalności malarz błądzi po mieście pełnym wspomnień, cieni przeszłości, samobójców, artystów i prostytutek. W krótkich, pięknym językiem napisanych, opowieściach, przypominających malarskie szkice kreśli obraz starzenia się, odchodzenia na tamten świat w towarzystwie wielkich poetów i pisarzy (między innymi Goethego, Kafki, Novalisa), z którymi czuje się w specjalny sposób związany duchowo.



KAPUŚCIŃSKI NON-FICTION

Autor: Artur Domosławski

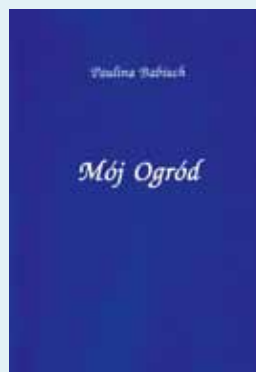
Wydawnictwo: Świat Książki 2010

Pierwsza biografia Ryszarda Kapuścińskiego, która jeszcze przed opublikowaniem wywołała falę protestów i oburzenia. Autor zmierzył się tu z wielkim mitem, próbując odbrązowić portret słynnego reportażysty. Autor pokazuje, że nie wszystko jest zawsze czarne lub białe, dobre czy złe. Tak naprawdę nie ma jednej prawdy. Z tym samym problemem zmagał się sam Kapuściński, piszący o PRL-u, o Etiopii, Iranie, Meksyku, Ugandzie, czy Związku Radzieckim. Czy faktycznie uczeń bruka dobre imię Mistrza?

Tytuł: Autor: Wydawnictwo:

Dr Katarzyna Krzan, wydawnictwo internetowe e-bookowo, KANapa literacka w KANIE.

OGRODY POEZJI



Poezja to tworzenie pięknych zdań i malowanie słowem. Wymaga skupienia i całkowitego poddania się rytmowi wiersza, podążania za nim i obnażenia swojej duszy przed ukrytymi w strofach mocami.

W poezji Pauliny Babiuch tkwi właśnie taka siła, która prowadzi nas w nieznane, zmusza do wędrówki po peryferiach świadomości, ale i uczuć.* Utwory zawarte w debiutanckim zbiorze autorki to efekt dwuletniej pracy, co znajduje także odzwierciedlenie w samych wierszach. Część ze „Starymi wierszami” wyraźnie różni się od nowszych perełek, każdą cząstką ciała wyczuwamy doskonalenie warsztatu i zmianę formy. Mimo, iż moje zainteresowanie wzbudziła „Okolica” i „Oczekiwanie” oraz cyniczne „Ideały” to prawdziwe mistrzostwo odnalazłam dopiero w wierszach nowych, dojrzalszych i bardziej świadomych. Należy w tym miejscu podkreślić, że autorka jest osobą młodą, ledwie u progu życia, więc także twórczości. Dlatego też, mimo moich wyrażanych tu zachwytów proszę o życzliwy dystans. Iskry talentu nie zawsze przeistaczają się w trwałą ogień. Niech rolę recenzentki będzie dmuchanie w te iskiere.

Szczególnie dobre są krótsze formy, gdzie słowa ulatują w nieznane, pozwalając nam zaledwie domyślać się prawdziwego przesłania. Autorka odcisnęła na swoich wierszach ogromne piętno - niezwykle osobista i odsłaniająca smutek duszy jest „Nienawiść” z załączkiem buntu, przenikający jest wiersz „Maluję”, a „Poszukiwanie” wypełniają rozterki i zwątpienie. Zachwycałam się też mrocznym, wręcz gotyckim „Tańcem anioła”, a w tytułowym „Moim ogrodzie” mogę skryć się niczym w samotni.

Autorka porwała się także na tworzenie scenariuszy, choć to raczej wiersze są mocniejszą jej stroną. Jej „Konflikt” nie trafił do mnie, nie poruszył żadnej struny we wnętrzu i choć w zasadzie nie można mu nic zarzucić, to emocji też nie wzbudza. Z tej beznamiętności wyłamuje się jednak „Schizofrenia”, przed którą chylę czoła. Jest oryginalna, ożywcza i odświeżająca drapieżną i prowokującą część osobowości autorki „Mojego ogrodu”.

Twórczość Pauliny Babiuch z pewnością nie jest przeznaczona dla wszystkich, jej wiersze będą miały szansę zaistnieć tylko w świadomości i sercach wybranych. Widzenie świata autorki jest odmienne od powszechnie uznanego, a obrazy tworzone słowem (podkreślone dodatkowo przez ilustracje Darii Hanusiak) wykraczają ponad przeciętność. To małe-wielkie rzeczy dla małych-wielkich ludzi...

Justyna Gul

*Paulina Babiuch, Mój ogród. Sosnowiec 2010.

Dotarł do Redakcji zbiorek poetycki Łukasza Mańczyka*. Zainteresował nas zwłaszcza utwór poświęcony Sosnowcowi. Po lekturze okazało się, że cały tomik zasługuje na uwagę. Oto, co wyczytała w nim nasza recenzentka:

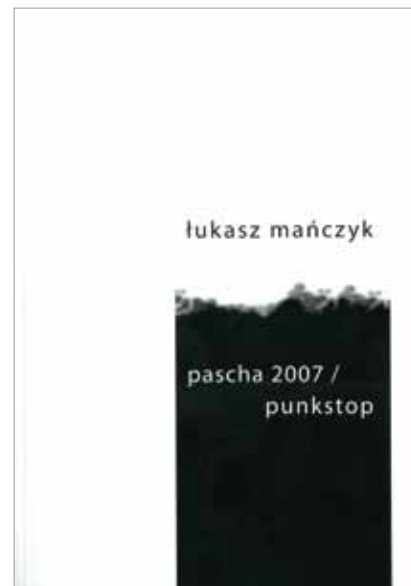
POCIĄG DO OPowieści

Niedawno powstały szkic Zygmunta Baumana, do którego bezpośrednim impulsem były kontrowersje wokół głośnej książki Artura Domosławskiego (*Kapuściński. Non – fiction*), rozpoczyna się próbą wyjaśnienia przyczyn popularności gatunku reportażu. Okazuje się, że kochamy „opowieści marynarskie” o „ziemiach, jakich pewnie nigdy nie zwiedzimy, i o zdarzeniach, jakich nigdy nie będziemy świadkami”. Opowiadający „marynarze” umożliwiają słuchaczom uczestnictwo w dalekich wyprawach i wiedzę o świecie, którą – wierzymy w to mocno, odkąd tylko podróż kojarzy się z edukacją – przyswoimy sobie, minimalizując jednocześnie ryzyko związane z peregrynacją.

W zbiorze Łukasza Mańczyka (*pascha 2007 / punk stop*) szeroko rozumiane „opowieści marynarskie” zajmują poczesne miejsce, co przekłada się na niewątpliwą przyjemność lektury. Stanowią rodzaj legendy do mapy, której topografię wyznacza szereg imion własnych i pospolitych: „morze”, „las”, „Sosnowiec”, „PRL”, „mars”, „Amsterdam”, „Monachium”, „pustynia”, „przełęcz świętego Gotarda”, „Berno”, „Dunaj”, „Chorzów”, „Siedmiogród”, „Wisła”, etc, etc. Niektóre przestrzenie wydadzą się czytelnikowi - mieszkańcowi Zagłębia lub Górnego Śląska - znajome/oswojone; tak dzieje się za sprawą wokabularzy, którymi Mańczyk operuje, a które kojarzyć przywykliśmy z przestrzenno-orientacyjnymi doświadczeniami z czasów dzieciństwa: „familoki”, „hałdy”, miniogrody, „estakada”, piaszczysta ziemia, „pogoria 3”, „zoo” i „planetarium”. Będąc oswojone, należą wszelako do miejsc, które

(już) nie istnieją – istnieją w innym kontekście, nie opromienione wzrokiem zamieszkującego je kilku-/kilkunastolatka. Ich pozostałości, niezależnie od stanu w jakim się zachowały, funkcjonalnie są zatem ruiną, owym niezbędnym elementem, wokół którego powstają na ogół prywatne czy lokalne narracje/mitologie. Te opowieści o przestrzeniach, których (już) nie zwiedzimy pozwolą zatem czytelnikowi nie tyle „podróżować w nieznaną”, ile „wyprawić się” po obrazy na tyle intersubiektywne, że można pokusić się o zbudowanie na ich podstawie gawędy pokoleniowo-tożsamościowej.

Amatorzy literackich wypraw egzotycznych także poczuć się usatysfakcjonowani – mogą eksplorować okolice, które istnieją tu dzięki nakładaniu się nazw geograficznych, metafor, języków deskrypcji marzeń sennych czy sytuacji możliwych jedynie w dobie wysoko rozwiniętych technologii cyfrowych. Słowa: „droga”, „morze”, „las”, „strumień”, „pikowanie”, „przestrzeńność” i „płaskość”, „kolory”, „zapach” – wskazywać będą na obiekty, własności czy relacje inne niż tradycyjne, a samo wskazywanie/oznaczanie podporządkowane będzie bardziej ogólnemu celowi, jakim jest próba reprezentacji chaosu wrażeń. Zużyte frazy, którymi stale operujemy, tutaj spiętrzone zostały w sposób urągający zasadom składni – tworzą osobiwy bełkot zrozumiały na poziomie fragmentów często nie przekraczających ram jednego wersu. W konsekwencji niektóre z utworów balansują na granicy czytelności, doskonale przy tym ilustrując kwestię pozornej tylko przyległości języka i doświadczeń, które na co dzień przywykliśmy racjonalizować zgodnie z obowiązującą konwencją - przy pomocy okrągłych zdań, a następnie narracji dowolnej długości.



Każda z podróży, do których zaprasza obszerny, liczący ponad setkę stron tomik, domaga się uwzględnienia własnej specyfiki; tytułem pomyślnie chciałabym zwrócić uwagę czytelnika na jedną z ciekawszych – podróż „udawaną”/„podróż w torebce” z wiersza *dyptyk kolejowy*. Potrafię wyobrazić sobie wiele potencjalnych modeli jego lektury, choć najbardziej trafia mi do przekonania wariant, w którym wyprawa będzie metaforą wszelkich doświadczeń transgresyjnych, poczynając od inicjacji właściwych wiekowi adolescencyjnemu, aż do tzw. podróży ostatniej/ostatecznej; „i gdy w końcu wsiądziesz / w ten dalekobieżny pociąg [...] / połowę niezbędności zostawisz w miejscu / którego nigdy już nie zobaczysz w taki sam sposób” – pisze Mańczyk. „Niezbędności” mogą dotyczyć całego bagażu doświadczeń, który gromadzimy trenując do wydarzenia, jakim jest przekroczenie pewnego progu. Sama transgresja jawi się przy tym jako nadzwyczaj ambiwalentna; jeśli kładzie cezurę między stanem obecnym i przeszłością („nigdy już nie zobaczysz...”), to równocześnie będzie też wyjątkowo nieautentyczna („prawdziwa podróż od lat jest niemożliwa”), kto wie, czy nie polega wyłącznie na realizacji pewnego kulturowego wzorca jej przeżywania.

Iwona Stomak

*Łukasz Mańczyk: *pascha 2007 / punk stop*. Wydanie i druk: Towarzystwo Słowaków w Polsce, Kraków 2009.

IX SOSNOWIECKIE DNI MUZYKI ZNANEJ I NIEZNANEJ

W Poniedziałek Wielkanocny rozpoczynają się IX już „Sosnowieckie Dni Muzyki Znanej i Nieznanej”. O krótką prezentację festiwalowych atrakcji poprosiliśmy Dyrektora Festiwalu Michała Górala.

Aż trudno uwierzyć, że przed nami już IX edycja festiwalu „Sosnowieckie Dni Muzyki Znanej i Nieznanej” – imprezy, której główną ideą jest przybliżanie szerokiej publiczności najciekawszych dzieł muzyki poważnej, ze szczególnym uwzględnieniem utworów rzadziej wykonywanych, nie zapominając przy tym o przebojach i „perłach” literatury muzycznej. Formuła, do której przez te wszystkie lata przyzwy-



ZBIGNIEW RAUBO

czailiśmy sosnowiecką publiczność, pozostaje bez zmian. Tak jak zawsze, festiwal nie jest związany z jednym miejscem, ale „wędruje” po mieście.

W tym roku koncerty odbędą się w sosnowieckiej Katedrze, kościołach pw. św. A. Boboli, Niepokalanego Poczęcia NMP oraz pw. św. Joachima, a także w Klubie im. Jana Kiepury i Sosnowieckim Centrum Sztuki – Zamku Sieleckim. Jak zawsze, wstęp na wszystkie koncerty jest bezpłatny.

- Każdy koncert jest inny i przez to wyjątkowy. Z pewnością polecam koncert inauguracyjny, który odbędzie się w Wielkanocny Poniedziałek w Katedrze. IX Festiwal rozpocznie Orkiestra Kameralna Polish Camerata z Łodzi pod batutą Marka Głowackiego. Wraz z orkiestrą wystąpi pierwszy oboista Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego

Radia Arkadiusz Krupa oraz sosnowiczanka, bardzo dobrze zapowiadająca się sopranistka Joanna Węgrzynowicz. Artyści wspólnie zaprezentują jak obój i sopran współbrzmiać ze sobą w najpiękniejszych ariach barokowych. Dodatkowo orkiestra zaprezentuje V Symfonię Fr. Schuberta.

- Jeśli chodzi o ciekawostki repertuarowe, to w tegorocznej edycji zabrzmiać m.in. rzadko wykonywane koncerty organowe G. F. Händla w wykonaniu Anny Pikulskiej z towarzyszeniem orkiestry kameralnej. Rzadko mamy możliwość posłuchania brzmienia organów, którym towarzyszy orkiestra kameralna. Będziemy mieli również szansę poznania mało znanej strony twórczości Leszka Możdżera. Chór Akademicki Akademii Muzycznej z Katowic pod dyрекcją prof. Czesława Freunda wykona m.in. psalmy w jego opracowaniu. W Roku Chopinowskim nie może również zabraknąć muzyki tego wielkiego polskiego kompozytora. Na koncercie w Klubie im. Jana Kiepury znane ballady, scherza i mazurki Chopina wykona niezwykle utalentowany pianista, laureat międzynarodowych konkursów pianistycznych – prof. Zbigniew Raubo. Z całą pewnością wielką atrakcją



festiwalu będą koncerty prezentujące gatunki, których do tej pory na festiwalu nie było. Podczas koncertu w Zamku Sieleckim będziemy mieli okazję posłuchać flamenco w wykonaniu zespołu Por Fiesta. Natomiast koncert zamykający festiwal (11. kwietnia, kościół pw. św. Joachima w Sosnowcu-Zagórz) wypełni pełna energii muzyka gospel w wykonaniu chóru Gospel Joy z Poznania – jedynego profesjonalnego chóru gospel w Polsce.

- Z roku na rok program festiwalu jest co raz atrakcyjniejszy, a publiczności przybywa. Mam nadzieję, że i w tym roku wszystkie miejsca koncertowe wypełnione będą po brzegi. Myślę, że każdy sosnowiczanie, który choć trochę interesuje się muzyką, powinien wykorzystać tę niezwykłą okazję, by posłuchać muzyki w profesjonalnym wykonaniu i to jeszcze za darmo.

Na tym festiwalu, po prostu trzeba być. Zapraszam serdecznie!

Michał Góral



FOTO: ARCHIWUM FESTIWALU

Kto chociaż raz miał możliwość zobaczenia „w akcji” Arkadiusza R. Skowrona, tego z pewnością nie zdziwiła mnogość barw na twarzy artysty oraz zbiór różnorodności zgromadzonych na scenie. Ta znajoma otoczka, która zawsze towarzyszy występom Barda chmurnoryjnego była obecna również 22 lutego w Art Cafe Muza w Sosnowcu.

„Nadzieja jest zielona jak absynt” – taki tytuł, kolejnemu ze swych spektakli promujących tomik – „Automordet”, nadał ARS. Inicjały to, jakby się mogło wydawać, nieprzypadkowe, przywodzą na myśl modernistyczne zawołanie *evviva l'arte*, idealnie niczym druga skóra pasują do Skowrona, który jak gdyby już w momencie wpisu do akt U S C, otrzymał znamię niepokornego artysty na wzór młodopolskich poetów. A i absynt w tytule nie był jedynie pustym słowem, choć zielona ciecz we flakonie na kształt kobiecych piersi, którą Skowron

zgromadzonych dziwacznych elementów scenografii – staje się rekwizytem. Zaś reakcje zgromadzonych widzów tylko potwierdzają zamiłowanie Skowrona do prowokacji i ciągłego zaskakiwania. Obcując z „Teatrem Liter” trzeba być przygotowanym na całą gamę odczuć i emocji, na które „skazuje” nas w swym niepohamowanym „TFU!rczym szaleństwie” ARS. Melancholię, pasję, śmiech, zaskoczenie, zażenowanie, ale w ani jednym momencie znudzenie – tych i wielu innych impresyjnych doznań mogli doświadczyć zgromadzeni w Art Cafe Muza widzowie, widząc, słuchając, czując (kadzidła to również jeden z ulubionych chwytów) i wręcz dotykając. Bo teatralność Skowrona zawsze angażuje wszystkie zmysły.

Na ogólny wydzźwięk spektaklu złożyły się nie tylko (choć przede wszystkim) teksty utworów poetycznych pochodzących ze wspomnianego już „Automordetu” i wcze-



raczył w trakcie przedstawienia siebie i zgromadzonych widzów, nie zawierała ani krzty alkoholu. Inaczej być nie mogło, gdyż nasz bard jest zdeklarowanym abstynentem.

Swego „liRYCZENIE” Skowron rozpoczął równo z wybiciem osiemnastej. I od razu dał publiczności do zrozumienia, że nie mogą czuć się anonimowi i bezpieczni w zajętych przez siebie miejscach. O nie! Dla ARSa publiczność nigdy nie jest tylko odbiorcą, ale też uczestnikiem, a nawet - podobnie do wszystkich

świejszego tomiku „Nadmgnienie zmrúżenia”. Poza tym o właściwy odbiór prezentowanych tekstów zadbała Dahlia von Meck, która swoją grą na „elektrycznym fortepianie”, akompaniując ARSowi w jego scenicznych szaleństwach, zdołała utrzymać wśród widowni poczucie niepokoju podkreślając tym samym nieprzewidywalność poczynąń chmurnoryjnego.

Poważnym uchybieniem byłoby nie wspomnieć o dodatkowym składniku dopełniającym całość skowro-

SKOWRONOWE EKSPRESJE W ART CAFE MUZA

nowego „Teatru Liter”. Elementem tym były grafiki autorstwa Aleksandry Skiby, które na czas scenicznych ekspresji zostały „wyjęte” z „Automordetu”,

Na koniec warto dodać, iż prezentując własne interpretacje swoich wierszy, ARS uderza w samo serce słuchacza czasem niemalże podrywając go z miejsca, czasem,



FOTO:
ROMAN LIPCZYŃSKI

przy akompaniamencie swej nieodłącznej przyjaciółki gitary, uspokajając i wprowadzając rozluźnienie. Toteż po powrocie do domu dobrze jest skonfrontować to, co usłyszane z tym co samemu wyczyta się z jego wierszy. Utwory Skowrona bowiem, od strony zarówno graficznej jak i leksykalnej, skonstruowane są tak, że każda następna próba osobistego obcowania z tą poezją może przywodzić na myśl zupełnie nowe jej odczytanie.

IzKiel



AGNIESZKA OKOŃSKA, ZBIGNIEW LERACZYK, ARTUR HAUKE



SCENA ZBIOROWA

PORNOGRAFIA

dwa spojrzenia

5 marca 2010 r. w Teatrze Zagłębia odbyła się premiera spektaklu „Pornografia” Witolda Gombrowicza, w reżyserii Jacka Bunscha. Jedno z najwybitniejszych dzieł polskiego dramaturga i powieściopisarza, opowiadające wydarzenia dziejące się na polskiej prowincji w trakcie II wojny światowej, doczekało się swojej inscenizacji na deskach sosnowieckiego teatru.

Osią historii staje się spotkanie Witolda (alter ego autora) z Fryderykiem, ekscentrycznym erudytą, które przeradza się we wzajemną fascynację. Bohaterowie trafiają na wieś (przedstawioną tutaj jako ostatni bastion Arkadii) do Hipolita, znajomego Witolda, by tam zaaranżować i „sterować” romansem szesnastolatków – Karola i Henii. Rozsmakowani w ich młodości, spontaniczności i świeżości, wrażliwi na każde słowo i gest, niemal reżyserują z zegarmistrzowską precyzją kolejne spotkania kochanków, czerpiąc z tego nieskrywaną satysfakcję. Z drugiego planu wyziera natomiast kultura polska i narodowe obyczaje w stanie pełnego rozkładu – wszystko to dzięki galerii postaci pisanych wyraźną kreską. Tyle treść dramatu.

Reżyser w swej realizatorskiej wizji postawił przede wszystkim na jasność przekazu. Dokładnie przedstawione realia tamtych czasów i przede wszystkich pełnokrwiste postacie są niewątpliwym atutem tego spektaklu. Duża w tym zasługa aktorów Teatru Zagłębia, którzy stanęli na wysokości zadania. Nie ma jednak róży bez kolców, tak więc zaakcentowanie pewnych elementów odbywa się kosztem innych. Trudno np. odczytać i zrozumieć relacje między Witoldem a Fryderykiem, które w przedstawieniu, w stosunku do literackiego pierwowzoru, zostały wyraźnie spłycone i „wyciszone”. Podobnie rzecz się ma z wymową i uzasadnieniem popełnianych zbrodni – Skuziak zabija Amelię, Wacław Siemiana, a młodzi – Wacława: wszystko to odbywa się jakby naturalnie i bez szczególnego oparcia w samej fabule, podczas gdy owe zbrodnie powinny być

w jakimś sensie „uzasadnione”. Trudno mieć jednak jakiegokolwiek pretensje do reżysera, wszak naszpikowane symbolami i znaczeniami dzieło Gombrowicza jest naprawdę trudnym materiałem do przedstawienia na scenie.

Z drugiej jednak strony jest to przedstawienie pełne smaczków i momentów, dla których widz odwiedza teatr. Piękny, żywcem wyrwany z Biblii obraz nagich Karola i Henii, upozorowanych na Adama i Ewę, poraża wręcz swoją malarskością. Tak samo jak scena szaleństwa Wacława – pełna pasji i rozczerowania, będąca świadomym pożegnaniem bohatera z dotychczasowym łaodem. Przemysław Kania zagrał ten fragment wyśmienicie. To tylko kilka z naprawdę wielu fragmentów, dla których warto obejrzeć ten spektakl.

W starciu z Gombrowiczowską materią niewielu artystów wychodzi zwycięsko. Wydaje mi się, że „Pornografia” w reżyserii Jacka Bunscha wystawiana w Teatrze Zagłębia jest dowodem na to, że takie próby należy podejmować częściej. Jest to spektakl dobry, po obejrzeniu którego niemal każdy ma ochotę sięgnąć po literacki pierwowzór i zreinterpretować je na nowo. To chyba najlepsza rekomendacja.

Reżyseria: Jacek Bunsch

Scenografia: Tadeusz Smolicki

Muzyka: Janusz Grzywacz

Obsada: Artur Hauke – Witold, Zbigniew Leraczyk – Fryderyk, Adam Kopciuszewski – Hipolit, Maria Bieńkowska – Maria, Agnieszka Okońska – Henia, Michał Bałaga – Karol, Przemysław Kania – Wacław, Ewa Kopczyńska – Amelia, Grzegorz Kwas – płk Siemian, Aleksander Blitek – Skuziak, Ryszarda Celińska – kucharka.

Arkadiusz Sowa



SCENA ZBIOROWA

Pornografia oznacza przedstawienie zachowań seksualnych za pomocą dowolnego środka ekspresji - obrazu, dźwięku bądź literatury - w celu wywołania podniecenia. Słowo wywodzi się z greki, gdzie „porné” oznacza ogólnodostępną prostytutkę, a „graph” to nic innego, jak pisanie czy malowanie. W szeroko rozumianej kulturze pornografia to metafora upadku wartości, do których kryzysu przyczynia się również czas wojny. Nie bez przyczyny więc Witold Gombrowicz osadził akcję swojej powieści w roku 1943 w okupowanej wsi polskiej, mimo iż z powodów emigracyjnych, rzeczywistość tamta była mu obca. Rzecz jednak nie w realiach wojennych, a w upadku wartości właśnie.

Proza Gombrowicza bywa niezwykle trudna w próbach adaptacyjnych i reżyserom często udaje się to tylko połowicznie. Konieczność dokonania selekcji zawsze spowoduje, że coś z punktu widzenia odbiorcy ważnego zostanie pominięte, coś innego wyeksponowane nadmiernie. Tak też stało się w przypadku Teatru Zagłębia, przynajmniej w moich oczach.

W powieściowym oryginalnie Witold i Fryderyk to dwaj panowie, których podnieca widok zmysłowych, bo młodych i niewinnych jeszcze, choć z drugiej strony zepsutych już szesnastolatków, a myśl o ich ewentualnym zbliżeniu doprowadza naszych bohaterów do białej gorączki. Niestety,

żadnej pasji, ani pożądania, ani podniecenia płynącego ze sceny nie czułam. Może to wina nie najszcześliwszego, według mnie, doboru aktorów lub nadmiernie rozpraszającej scenografii, może muzyki, która miejscami mało współgrała z klimatem? Pomędzy Henią i Karolem, owymi nastolatkami, miało iskrzyć, a nic takiego się nie działo. Nie pomogło nawet, kiedy wyszli na scenę rozebrani do naga, choć brawo za odwagę. Na emocje odbiorcy czasem jednak bardziej oddziałuje gra wyobraźni niż goła dosłowność.

Szczególną moją uwagę zwrócił na siebie Aleksander Blitek grający w tym przedstawieniu Skuziaka - pachotka pana Hipolita. Scena, w której wbijał nóż w panią Amelię, doskonale rozbawiła ekspresyjną dwuznacznością. Szkoda, że w innych sytuacjach zabrakło tej lekkiej groteski.

Próbowałam rozmawiać o wrażeniach po zakończonym spektaklu z innymi widzami. Niestety, nasze odczucia w większości pokrywały się. „Za bardzo cenię sobie Gombrowicza, aby wypowiadać się na temat tej sztuki”- usłyszałam.

Ewelina Nakielska

RELIKWIA

(FRAGMENT ROZDZIAŁU 2)

Rysio w garniturze specjalnie odświeżonym przez matkę stał naprzeciw wejścia do kościoła. Stońce niemrawo przeziierało przez chmury.

- Augustynie, przyjmij znamię Ducha Świętego – usłyszał i poczuł na czole dotyk wilgotnego krzyżma. Biskup uśmiechnął się do niego i na krótkie „amen” skinął głową.

Dokonało się, Duch Święty wreszcie napełnił duszę Rysia Augustyna, który czekał na tę chwilę w uniesieniu przez cały okres nowenny. Już dawno wymazał z pamięci pychę chłopca, co chciał zostać księdzem, a gorliwa pokuta pozwoliła mu lepiej zrozumieć naturę swego wyboru. Umocniony w wierze, przyjął namaszczenie z otwartym sercem, jak nakazywał katechizm. Dobre słowo proboszcza znów wsparło go w obliczu świętego Sakramentu.

I gdy tak stał przed wrotami kościoła, chłonąc światło Pana rozchodzące się w nim niebiańską miłością, wzrok jego spoczął na przyjmującej właśnie Sakrament dziewczynie w jasnej sukience.

Chodziła do równoległej klasy, tyle Rysio Augustyn wiedział, i nazywała się Ela Krochmal. Była nieco od niego niższa, zgrabna i miała jakiś szczególnie powab. Należała do tych przerośniętych lolitek, które w gronie koleżanek znajdują się zawsze w centrum i nigdy nie lawirują na obrzeżach kółka. Są punktami odniesienia, zarówno dla rówieśniczek-satelitek, jak i młodzieńców omiatających szkolne korytarze posępnym wzrokiem klasowych osiłków. Są obiektami marzeń i najskrzytszych chłopięcych pragnień. Na widok takiego na przykład Andrzeja Młynarskiego, powtarzającego drugi raz siódmą klasę, z oczu Eli Krochmal natychmiast wystrzeliwały niewidzialne promienie-wabiki, głowa nieznacznie przechylała się w lewo, a dłoń wędrowała w stronę ucha, aby wygładzić kosmyki włosów, które wysuwały się sponad lekko odstającej małowiny. Wtedy Ela Krochmal przenosiła ciężar ciała na prawą nogę. Wiedziała, że w ten sposób może zaprezentować swą lewą, większą pierś w najkorzystniejszym świetle, w pełni jej świeżego rozrostu, a odstawiając bok szczupłego ciała poprzez uniesienie ramienia, wystawiała na widok Młynarskiego cudowny dla jego oczu obraz miodolecznego organu z wypustkiem rysującym się pod cienką sukienką. Była pewna, że kroczący korytarzem młodzieniec musi w końcu skierować chmurne spojrzenie na jej figurę zakłęta w boskie kształty, upiersoną już w sposób dojrzały, z biodrem wygiętym w półmisek, świadczącym o finalnej fazie biologicznego modelowania, jaką właśnie przechodziła.

Niewątpliwie była dumna ze swej tak pięknie rozkwitającej kobiecości, i nawet w momencie

namaszczenia, który ze zdumieniem obserwował Rysio Augustyn, nie zapomniła wystać biskupowi anielskiego uśmiechu, mogącego stopić serce najtępszego pustelnika. Duchowny pozostał jednak nieczuły na rumianą zaczpkę i po dopełnieniu rytuału, bez słowa przesunął się ku następnej pannie. Za to zupełnie inaczej uśmiech ten podzielał na Rysia Augustyna: pochmurny dzień rozświetlił się nagle, jakby światło jakieś niesłoneczne wylało się blado-ciepłą lawiną na świat wokół kościoła. Fakt, że chmury rzeczywiście w tym momencie przepuściły trochę słońca nie ma tu nic do rzeczy. Chłopiec kosztował właśnie pierwszego miłosnego zauroczenia.

(...)

Nie było w jego mocy pomówić o problemie z Ambrożym. Co by się stało, gdyby ten święty mąż dowiedział się o tak potwornym grzechu, jaki w całej swej ohydzie spadł na Rysia Augustyna, i to właśnie w chwili, gdy z nadzieją cieszył się na przyjęcie Ducha Świętego. Wmawiał sobie, że Bóg najpewniej postanowił doświadczyć go bardziej od innych; specjalnie przygotował widowisko, jeszcze jedną próbę, aby Rysio Augustyn mógł uwierzyć, że z wybranej drogi życiowej nie zmiecie go najsilniejszy nawet wicher. Czy mogło istnieć inne wytłumaczenie? Koszmarny zbieg okoliczności - jego wzrok osiada na twarzy Eli Krochmal, wskutek czego plugawe doznanie zmysłowe bezczęści napełniającą go moc Ducha! To nie przypadek! W ten sposób mogła przebiegać wyłącznie interwencja Najwyższego, Rysio Augustyn nie miał co do tego wątpliwości. Przeprowadzona z ujmującą celowością stawała się subtelny znak wyższej konieczności i dowodem faski.

Świadom powagi sytuacji, postanowił jak najprędzej przystąpić do intensywnej pokuty i serii umartwień będących wybawieniem od przepalającego mu wnętrza hormonalnego tańca. Okres wakacyjny sprzyjał tego rodzaju praktykom, nie narażał Rysia Augustyna na zbyt częste kontakty z kolegami ze szkoły. Chłopak czuł się wolny. Rozmyślenia o Eli Krochmal gasił w sobie od pierwszej chwili i pokrzepiał się codzienną długą lekturą Pisma i Ojców Kościoła. Niejedną raz wracał do *Wyznań*, gdzie odnajdywał pokrewną duszę i utożsamiał się w wewnętrznej walce z genialnym autorem. Szukał odpowiedzi na gnębiące go potwory chuci u świętego Pawła, wyobrażał sobie, jak tenże apostoł zmagał się z własną słabością i w modlitwie prosił o siłę, która pozwoli mu zwyciężyć w wiecznym boju.

Obok litanii różańcowych, regularnego postu, całodniowej uwagi skupionej na sprawach religijnych, wzywania pomocy u świętych i czytania w życiu ojców pustyni, pod koniec sierpnia zmuszony był dopełnić pokuty i zaaplikować sobie serię umartwień fizycznych.

Zaczął od wstrzymywania moczu. Sikał dopiero wtedy, gdy ból pęcherza podchodził aż do serca i pierwsze kropelki uryny, mimo walki z przekłętą fizjologią, złościły mu majtki. Po kilku dniach wpadł na pomysł przewiązywania sobie napletka wędkarską żyłką, co tamowało napływ moczu, ale prowadziło do nieznosnego wręcz bólu.

Kilka razy dziennie schładzał w zamrażalniku wodę, napełniał nią litrowy słoik i płał w nim nabrzmiały członek, trzymając go tak długo, jak tylko mógł wytrzymać. Tuż przed snem, gdy jego myśli stawały się zbyt dosadne, chłostał go skręconymi w małe supełki sznurówkami, odma-wiając *Zmiłuj się nade mną Boże w łaskawości swojej...* i *Proszę, Panie, Boże wielki i straszny*, potem podszczypywał go za pomocą ojcowskich kombinerek, wreszcie ponownie płał w słoiku, żałując, że przygotowana zawczasu woda nie miała już odpowiednio niskiej temperatury.

Niestety, heroiczne męczeństwo nie miało końca – po każdym akcie umartwiający, penis wprawdzie przechodził w stan uśpienia, jednak w końcu budził się znowu i Rysio Augustyn czuł, jak potężnie z każdą sekundą, aż wreszcie przybiera nienawistny kształt stwardniałej maczugi. Przydarzało się to w najmniej sprzyjających okolicznościach: w sklepie, przy obiedzie, na spacerze i – co najgorsze – podczas posługi ministranckiej. Próbował ukrywać kompromitujący stan i poruszać się w normalny sposób. Odrzucał myśli o diabelskich sztuczkach, o podstępach złego, a uwagę kierował na czyste myśli prze-błagalne. Nie zawsze metody te były skuteczne. Fallus miał w pogardzie gorące modlitwy i nie lękał się najsrozszych umartwień. Na dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego, kiedy wspomnienie Eli Krochmal zobrazowało się niezdrowo, Rysio Augustyn – będąc w stanie skrajnego niemal wyczerpania ciągnął pokutą i pocuciem winy – zaczął poważnie rozmyślać o ucięciu krnąbrnego instrumentu, którego natura, będąc całkowitym przeciwieństwem posłuszeństwa i chrześcijańskiej pokory, musiała pochodzenie grzesznej inklinacji wywodzić od szatańskiego ducha.

(FRAGMENT -ROZDZIAŁU 5)

Otworzył drzwi i trzecia A zasiadła w ławkach. Augustyn nie miał przy sobie dziennika, nie usiadł przy biurku, jak miał w zwyczaju, tylko stał patrząc dobitnie na znane sobie mordki. Młodzi też patrzyli na niego. Panowała cisza, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył w czasie katechezy. W pierwszej chwili poczuł się nawet nieswojo, jak to – nie trzeba ich uciszać, prosić o schowanie komórek, obwieszczać, że katecheza już się zaczęła... Aż dziwne. A jednak to właśnie się działo. Cała klasa zachowywała się wręcz wzorowo. Augustyn milczał i patrzył na nich. Milczał tak minutę, potem drugą minutę. I nikt się nie odezwał. Dzieciaki siedziały spłoszone i zupełnie bezradne.

To was teraz przypiliło – pomyślał Augustyn. Nie lubił tej klasy. Była wyjątkowo źle dobrana – zaledwie dwoje czy troje naprawdę dobrych uczniów, a reszta to przeciętniaki lub zupełne durnie. Za parę lat zasilą stado bezrobotnych. Spoglądali na niego z pełnym zainteresowaniem. Jak to, nie rzucają się do odrabiania maty, przepisywania wypracowań z polskiego?, nie opowiadają historii z sobotnich wypadów na tańce?, nie rozważają

ostatnich sieciówek?, dziewczuchy nie wołają: „proszę księdza, ja muszę się teraz zlustrować, ja taka nieumalowana przed panem Jezusem”?, i nie wyciągają swoich przyborów toaletowych?, nie brzęczą czymś w kieszeniach?, nie mlaskają żując gumę?

No dobra, są w transie – pomyślał, ale zaraz do głowy przyszło mu inne przypuszczenie – nie, oni wcale nie są przejęci, oni po prostu robią sobie ze mnie jaja, ordynarnie się nabijają.

Nagle usłyszał przytłumione parsknięcie. No tak, Michałak nie mógł już dłużej wytrzymać. Po chwili tu i ówdzie rozległ się urywany śmiech.

- Nie no, proszę księdza, jebionna sprawa z tą relikwią, nie no, serio – rzucił wreszcie Marcin Michałak ocierając tzy i po chwili klasa odechnęła i zaszumiała jak trzeba. Wrócił luz.

Zaczęli rozpierać się na krzesłach. Chłopaki powyciągali swoje długie i chude nożyiska, dziewczyny wyduły biusty, w ruch poszły komórki, ktoś zrobił mu zdjęcie. „Do młodzieży trzeba metodą ostrą. Oni odchodzą, bo wszystko staje się łatwe, za łatwe. A religia nie może być łatwa, bo wtedy upadnie. Trzeba im Augustynie mówić słowa twarde, mocne, tylko to ich poruszy. Oni muszą wiedzieć, że zło to zło, a dobro to dobro. Jak się tego dowiedzą, wrócą. Od tego trzeba zaczynać, potem tłumaczyć im to, co głębokie. Sami po to przyjdą” – mówił proboszcz Ambroży niedługo przed śmiercią, gdy już na własne oczy zobaczył, że wolność odebrała katolikom głębię wiary, a szacunek dla Kościoła walczącego z systemem coraz częściej zastępowała niechęć ku „czarnym”, natomiast obrzędy były tylko popłuczynami po dawnych uniesieniach. I wtedy Augustyn przemówił głośno.

- Jesteście przekłęci.

Momentalnie przestali żuć.

- Ja też jestem przeklęty.

Wyczuł, że cisza, jaka tym razem spowiła klasę, była szczerą. Augustyn od samego początku nie poruszył się, nie zmienił wyrazu twarzy, przenosił tylko spojrzenie z ławki do ławki.

- Ale wy jesteście bardziej przekłęci, bo jesteście głupi.

Nie spodziewał się, jak bardzo celne okazały się te słowa, lecz kiedy cała klasa zamarta, wiedział, że trafił w sedno. Coś, czego nie udało mu się zrealizować przez kilka lat szkolnych lekcji religii, nieoczekiwanie, w prosty sposób, zostało osiągnięte – cisza, wyczuwalny posłuch i ciekawość, jaką wreszcie, po raz pierwszy chyba, dostrzegł w oczach wszystkich uczniów. Dopiął swego.

- Macie teraz szansę, żeby zmądrzeć – zakończył Augustyn i wyszedł z klasy.

(...)

Nikt się nie poruszył, kiedy drzwi zatrzasnęły się za księdzem. Gimnazjaliści jak spiorunowani trwali na swoich miejscach. Przerażające stwierdzenie księdza wdarło się do ich mózgów jak wirus niosący śmierć żywym komórkom. Takich rzeczy nikt jeszcze prosto w przyszczone twarze im nie wygadywał. Jak tak można?! Dzieciom

w twarz?! Takim ziomalom? Że głupi, że przekłęci? Przekłęci?!

- Ale pojechał... - wystękał wreszcie Błaszczok, zwiając długachne odnóża.

Cała trzecia A przeżyła religijny wstrząs. Brutalne słowa Augustyna i aura świętości wokół mocy objawienia, stworzyły cudowny w rezultacie efekt oddziaływania na młode potworki gimnazjalne. Podśmiewali się teraz popatrując na siebie, kręcili głowami, lecz coś otworzyło im się w głowach. Najcelniej odczucia młodych wyraził Dominik Zemła, rozwalony z nogami na ostatniej ławce:

- Gość był tak kurewsko zajebiście jebionny, że chuj mięknie, mięknie po prostu.

Trzecia A pozostała w sali do końca lekcji. Dziewczyny i chłopaki patrzyli na siebie wciąż niedowierzając temu, co się stało. Dlaczego ich ksiądz nie był księdzem? Jak mógł się tak postawić? Gdzie miłosierne przebaczenie, gdzie znoszenie zniewag? Zaczęli od delikatnych komentarzy, później przeszli do mocnych stwierdzeń i najgłupszych hipotez, aż wreszcie wybuchła w nich nieogarniona pasja retoryczna. Klasa zamieniła się w rykowisko, kupiecki bazar, i najpewniej trwałoby to do dzwonka, kiedy nauczycielka prowadząca właśnie lekcję biologii weszła i zdumiona zawołała: „Co tu się dzieje?”.

Augustyn opuścił klasę w spokoju, jakiego już dawno nie doznawał. Katecheza skończyła się po kilku zaledwie minutach, a jednak nie tracił wiary w to, że uczyniła w sercach młodych ludzi więcej niż dawne cotygodniowe bitwy na argumenty. Nie musiał bronić powagi Kościoła Katolickiego, odpierać jadowitych ataków na dogmaty wiary albo tłumaczyć skąd tak dużo wie o małżeństwie, choć nigdy go nie zaznał.

(...)

Szedł korytarzem niezmiernie z siebie zadowolony. Już dawno nie odczuł takiej ulgi. Niemalże błogostan wypełnił go całego, kiedy uświadomił sobie, że już więcej nie przyjdzie do szkoły, a trzecia A i tak spełni swe zadanie. Znał plotkarską naturę młodych. Rozniosą wieść o niecodziennej katechezie po całej szkole. No i stanie się, mit przekleństwa, jakże pięknego i przydatnego pojęcia, wyrośnie w samym środku świątyni wiedzy i pochwyty umysły w kleszcze wątplenia. Nie do końca będą świadomi własnej słabości, która wysła ich na wieczorną mszę, nie całkiem będą wiedzieli, że bojaźń wcale z nich nie wyciekła przez lata racjonalizmu, tylko zaszyła się na pewien czas, zepchnięta przez tymczasowo silniejsze moce. Zagłębione korzenie chrześcijańskiego sumienia zadrzą w ich duszach, zabolą jak piekący stygmat. I przyjdą w przeświadczeniu, że pchnęła ich zwykła ciekawość, ale to będzie lęk, prymitywny strach przed sprawcą siłą słowa. Ich udawana katolickość nabierze boskiej treści, i będzie krzyk i zgrzytanie zębów, ale moc zapamiętuje nad nimi.

A może ich przeceniał? Może wierność wierze na tyle już obrosła w chwasty, że przemieniła się na trwałe, stała się płytką uczynków i rytualnych gestów. Może naprawdę ich religijność to śmietnisko formuł i nic więcej, może – tak jak chcą ci młodzi wikariusze – trzeba to wszystko wysprzątać, pozbierać i dokładnie wyprać,

i zacząć z zupełnie innej strony. Przypomniał sobie gorące dyskusje seminaryjne na temat Soboru Watykańskiego II – nadzieje i obawy, przepowiednie upadku i wzlotu. Teraz jest tak samo, tylko niebezpieczeństwo większe. Kościół musi powstrzymać obłąkańczy pęd świata, to jego najważniejsze zadanie, ale właśnie pełniąc tę rolę skazuje się na śmieszność, ludzie pukają się w czoło nad zakazem antykoncepcji, kręcą głowami na moralne potępienie in vitro i wyśmiewają niereformowalnych biskupów, media wyciągają pedofilów zza zasłony prowincjonalnych parafii, dogmaty to bajki dla dzieci, a historia chrześcijaństwa to inkwizycja i stopy. W takich warunkach hamująca siła Kościoła musi słabnąć, i to jest najgroźniejsze, myślał Augustyn.

(...)

Wszedł do ubikacji dla personelu i podciągnął sutannę. Sikał długo i cierpliwie. Potem umył ręce i znów znalazł się na korytarzu. Włączył komórkę i zauważył, że pani burmistrz dzwoniła kilka razy. No to niech jeszcze popróbuje. Zaniósł klucz do pokoju nauczycielskiego, gdzie tym razem nikogo nie było i opuścił szkołę. Już wtedy wiedział, że był w niej ostatni raz w życiu. Przedarł się przez ogrodzenie i wszedł do swojego Opla. Zapragnął pojechać do lasu za miastem. Czekając na światłach posłał Januszowi sms, aby jak najszybciej zjawił się w kościele, trzeba bowiem zająć się przygotowaniami do mszy, sprawdzić, czy z relikwią wszystko w porządku. Po kilkunastu minutach przechadzał się oszronioną ścieżką. Jezdnia i samochód zostawały coraz dalej w tyle. Po spotkaniu z gimnazjalistami cisza i zapach zmrożonego lasu były błogosławieństwem. Zagłębiał się między sosnowe pnie.

- Co ty chcesz uczynić, Rysiek? – powtarzał patrząc w niebo i zacierając ręce. Struna wątplenia od chwili, gdy opuścił ubikację znowu z lekka pobrzękiwała mu w duszy. Czy obrał właściwą drogę? Starał się modlić, ale w ogóle mu to nie wychodziło, słowa, same w sobie, płynęły, ale nie było w nich wiary w posłannictwo, w jakąkolwiek moc. A mimo to ciągnął modlitwę, nawet kiedy już znalazł się na niewielkiej polance, gdzie wreszcie stanął i wyciągnął zgrabną pierśsióweczkę. Takie trudne czekało go zadanie, a nie wiedział czy zdola je wypełnić. Jeszcze ta Ela musiała się pojawić wczoraj, taka nieprzyjemna, grożąca denuncjacją. Dlaczego teraz właśnie, kiedy tak potrzebował wewnętrzznego spokoju. Panie, ty wiesz, że jestem teraz sam, stoję tu teraz, pośród drzew, i mówię – daj mi siłę. A ty milczysz, milczysz jak zwykle, więc nie wiem, czy to, co muszę zrobić spodoba się tobie, nie wiem nawet, czy cokolwiek tobie może się podobać, czy ty czujesz tak samo. Nie wiem, czy mnie słyszysz, ani nie wiem, czy to, co mówię ma sens, lecz muszę przemawiać do ciebie, bo nie potrafię inaczej. Albo jest to wieloletni trening, albo oddolna potrzeba – to nie ma znaczenia. Ty wiesz, że jestem teraz sam i zawsze tak będzie, aż do końca. I ten koniec musi nadejść, wiesz dobrze, już niedługo. Więc daj mi znać, chociaż raz, że całe życie robiłem to, czego ode mnie chciałeś, a te wszystkie lata nie były tylko spacerem w dolinach ułudy.

(powieść Relikwia była recenzowana w poprzednim numerze)

O Krystynie Borkowskiej można wiele... W numerze 4 z 2008 roku naszego magazynu napisano, że jest postacią niezwykłą w zagłębiowskim środowisku, że jest uzdolnioną poetką, że jest osobą skromną, pogodną i koleżeńską. To wszystko prawda. Reprezentuje w Zagłębiu to, co



zwykło się niekiedy nazywać ludowym nurtem w literaturze. Wówczas nie napisano, bo wtedy było jeszcze przed faktem, że została odznaczona przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego Honorową Odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”. Naprawiając niedopatrzenie sprzed roku, łączymy serdeczne choć spóźnione gratulacje dla Krystyny z powodu uhonorowania Jej wspomnianym wyżej tytułem. Wszystkiego Najlepszego Krysiu! Dziś prezentujemy kilka Jej utworów poświęconym Zagłębiu, w tym „Stary Sosnowiec” – wiersz najnowszy.

red.



Stary Sosnowiec

wszak dom to mój ci jest
nie inny
kolejną kartę snu odwracam
codziennie ścieżka od lat znana
ciągle do domu tego wracam

to coś że zmiany jak szalone
wciąż wprowadzają zamęt w głowie
wszak drżenia serca
nie okłamiesz
ono zaułki znajdzie swoje

bezwiednie wskaże ci podwórko
powie gdzie fryzjer szewc
gdzie szkoła
bo tu za każdym rogiem ulic
najmniejszy kamyk do cię woła

tu jordanowski jest ogródek
krzyż i kapliczka
róż plantacja
tu kilka żywych wciąż obrazów
maluje twoja tylko racja

odgłosy mezu i megafon
karawan zaprzężony w konie
tu brama tramwaj
sklep chabiński
dzieciństwa baśnie ci opowie

znów w płocie zadrży tajne przejście
gałzka bzu akacji kiście
znów przemkniesz cicho
na czereśnie
i w porę umkniesz oczywiście

tu cię nie złapią żadne bóle
chyba po latach
te z tęsknoty
gdyś śmigał lekko jak latawiec
i wciąż przemierzał znane płoty

tu też dziewczęcy śmiech rozbrzmiewał
hen przez te płoty o podwórza
co dzisiaj w zamian pozostało
pójde zapytać chyba stróża

zapewne z miotłą wciąż ma dyżur
zapewne z flagą znów o świecie
ale co tutaj dużo gadać
dawniej to panie było życie!

Kolebkowe nutki (J. Kiepurze)

jeszcze nad kołyską
śpi melodia świata
ojciec ręce z mąki wyciera
fartuch ściąga
a już matka
pani Kiepurowa wie...
Oj! ma Jasio głosik nie lada.
Oj! muzykant z niego będzie.
Oj! będzie! – Nie piekarz.

w porze agrestu i żółtych mirabelek

na rynku w Sycynie
mam dwa złote i sześć lat
Kochanowski z cokołu patrzy
dziewczynka z mysimi warkoczami
dziś jeszcze je agrest i mirabelki

jutro pozna Orszulkę

napisze wiersz

W Zagłębiu

śpi nocą moje miasto
i księżyc prósz światłość cieni
ktoś brzegiem rzeki tu podchodzi
cicho zostawia łódź
w szuwarach

rozkłada lekko mgielne tchnienia
i czule głaszcze
każdy kamień
przysiada
na drewnianej belce

zostawił tutaj
skarb największy
zostawił młotek kielnię gwoździe
robocze spodnie

matkę żonę
spuchnięte nogi w Przemszy moczył
nieraz też raki jadł ze rzeki
i nie przypuszczał
że kiedyś jakiś
w odwecie zeżre go za braci

wokół szerzyło bezrobocie
w wojna żniwo swe zebrała
ostała tylko ludzka dusza
która z tęsknoty
cicho łkała

mówiono wicher tak zawodzi
mówiono minie skoro świt
dziś w moim mieście
jasny ranek
na moście świerszcza – cyt! cyt!
cyt!

(I nagroda „Zagłębiowski Pegaz” 2009)

ja nie kocham Buenos Aires

lecz Zagłębia liter osiem
gdzie zagłębiam się glebiście bo
tu przecież oczywiście rzeczy
dzieją się jak dzieje
każde z ziaren co w poecie
wykiełkować musi przecież
więc

Z rośnie jak ząb mleczny
i ta radość w oczach matki (że
nareszcie!)

A i okrzyk (ach! zobaczcie!)
więc smakuje w **G** jak w gębie
bo **Ł**zyeczek będzie sporo
i **ę** łączę z metaforą
BIEgną lata
i godziny

przez **ZAGŁĘBIE**
w głąb Krystyny

(I nagroda „Zagłębiowski Pegaz” 2007)

Urząd Miejski W Sosnowcu Miejska Biblioteka Publiczna w Sosnowcu Art Cafe Muza

ZAPRASZAJĄ NA

ZDERZENIA

poetyckie

SOSNOWIEC

NAKIELSKA 2 CZĘSTOCHOWA

FRANIA
JAMROZIŃSKI
ZEGADŁO

W ROLI ARBITRA WYSTĄPI KRYTYK LITERACKI,
POETA, PUBLICYSTA, FELIETONISTA
LESZEK ŻULIŃSKI

15.04.2010 18:00

NOWE MIEJSCE
ART CAFE MUZA
UL. WARSZAWSKA 2

OPRAWA MUZYCZNA:
DOMINIK BIENCZYCKI

PROWADZENIE:
EDYTA ANTONIAK

„W momencie śmierci bliskiego uderza człowieka świadomość niczym nie dającej się zapełnić pustki” Józef Tischner

W dniu 7-go marca 2010 roku odszedł człowiek o wszelkich zaletach umysłu i charakteru.

Sp.

JOLANTA SZYMONIK

Główna Księgowa w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu.

Była mądrą, szlachetną, prawą koleżanką i przyjacielem. Jej wiedza, zdolności i doświadczenie służyły przez wiele lat Klubowi, a cechy Jej osobowości stwarzały niepowtarzalną atmosferę pracy. Niełatwo będzie Ją zastąpić. Była wspaniałą, życzliwą i wrażliwą. Przyjaciółka pełna dobra, którym dzieliła się z innymi. Troskliwa i niezawodna w potrzebie, dobry przyjaciel, który potrafił uczyć prawości i miłości. Odeszła cicho.... tak jak żyła; pracowita, cierpliwa i dobra. Odeszła tak szybko i niespodziewanie, że nie było czasu na pożegnanie....

Pożegnaliśmy Przyjaciółkę, Koleżankę, wspaniałego Człowieka.

SIECIOWO

FINEZYJNA SIATECZKA PROMOCJI

Centrum handlowe w lutowy weekend: w uszach świdruje głos dziewczyny trzymającej tubę. – Chodźmy obejrzeć inne pasaże – mówię do towarzysza niedoli, podejrzewając, że z chwilę ktoś zechce sprzedać nam kupon konkursowy na jedno z błyszczących aut... Bractwo z megafonami dogoniło nas w najspokojniejszej części pawilonów; zorientowaliśmy się zresztą, że to happening – i to jaki! Grupa młodzieży, już to w strojach – wypisz-wymaluj - przodowników pracy, już to w PRL-owskich mundurkach. – Precz z komuną! Więcej chleba dla piekarzy! (etc.) - krzyczą (cokolwiek bez sensu, ale za to z entuzjazmem). Następnie jedni parodiują tradycyjną akademię, inni skaczą w gumę i urządzają „wyścig pokoju” (kapsle i papier toaletowy), zachęcając wszystkich do udziału.

Przybyli chłoną widowisko jak każdy inny cyrk

organizowany w tym miejscu podczas świąt czy sezonowych wyprzedaży; ocierają łezkę nostalgii; tłumaczą latoroślom, że tak drzewiej bywało; chwalą młodzież za inicjatywę, względnie - co bardziej krytyczni/krytykanci/sentymentalni - odpowiadają: komuno wróć! Dominuje tendencja, aby odbierać rzecz jak najprościej – jako kabaret, lekcję z historii w formie skeczu, manifestację przekonań politycznych. To co najbardziej nieprzyjemne - jest niezauważalne czy rugowane ze świadomości. A kilka niewygodnych pytań można zadać. Na pewno o moralny aspekt estetyzacji/karnawalizacji historii dla celów... – jakich? Można głowić się, kto jest beneficjentem tego show – aktywni i bierni jego uczestnicy, którzy spędzili „niezwykle” popołudnie; dom towarowy zyskujący opinię miejsca kulturalnego i większą liczbę potencjalnych klientów w przyszłości? Albo i goście, którzy przypomnieli sobie o rzeczy oczywistej: najłatwiej parodiować gesty emfatyczne, zdecydowane – przy tej świadomości trudno nie autocenzurować

jakichkolwiek wyrazów niezadowolenia... - I co z tego, że stoiska wokół rozrastającego się ponad miarę giganta wyraźnie pustoszeją? Wchłonnie je, a później wchłonnie śródmieście; obudzimy się niebawem w sklepie – z rezygnacją kiwaliśmy głowami wracając (otrząsnęliśmy się później).

Bywa, że przychodzi urządzić konkurs piękności lektur z ostatnich miesięcy – nie do wykonania. Cenna jest każda, po warunkiem, że wywoła o wiele więcej niż letnią reakcję – obojętnie, sprzeciwu, czy entuzjazmu; jeśli zmusza do zajęcia stanowiska, choćby nadzwyczaj niepewnego – jest istotna. Takich lektur, widowisk, happeningów Państwu życzę, a w kwestii sytuacji dotkliwych – ciąg dalszy nastąpi.

Iwona Stomak



ZBIGNIEW ZDZIENICKI RUINY ZAMKU W SIEWIERZU – RYSUNEK

TOKOWISKO

NA WIOSNĘ KWIATKI ROSNĄ...

● ● ● i stos wierszy i innych utworów w redakcyjnej szufladzie, które niekoniecznie są najwyższego lotu, by nie użyć mocniejszego słowa. Wiosna. Jak tak dalej pójdzie, nie pozostanie nic innego, jak wystąpić o przydział niszcarki do papieru. Dotąd była niepotrzebna. Snadź felieton z pierwszego numeru (luty 2008) został zapamiętany. Tak, ale to już było dawno, nowych czytelników przez dwa lata przybyło i skutki są widoczne. Tak zwyczajnie oddać je autorom, nie jest proste. Grozi obrazą na resztę życia, czasem można także oberwać, wcale nie w przenośni. Odnoszę wrażenie, że im mniej autor myśli o czytelniku, tym bardziej przywiązany jest do własnych słów i alergicznie reaguje na jakiegokolwiek uwagi.

Ratując się przypomnę, co napisał mistrz Filipowicz: *Jedną z właściwości dobrej literatury jest ta mianowicie, że autor, aby poruszyć czytelników – nie potrzebuje sam się wzruszać. Wystarczy zupełnie jeśli tylko dobrze wie, jak to się robi.* A tu wraz z teczką pełną tekstów słyszę przez telefon, albo w żywe oczy, albo

czytam w liście komentarz pełen samouwielbienia, jak to autor przeżył akt twórczy i jakie to genialne dziecko spłodził. Straszne.

Całkiem dobrze radzę sobie z młodzieżą. Mniejsza o to jak, ważne, że skutecznie. Mimo wszystko młodzi mają jeszcze w sobie tę odrobinę pokory i samokrytycyzmu, potrafią słuchać, a czasem nawet wyciągać właściwe wnioski. Gorzej, gdy ma się do czynienia z ludźmi w wieku zaawansowanym, z włosiem siwizną przyprószonym i do tego z zasługami, skądinąd rzeczywistymi. Ręce (i nogi) opadają. Znowu podeprę się cytatem. Ch. Bukowski ujął to tak: *Jeśli człowiek musi karmić drugiego kłamstwami na temat jego talentu tylko dlatego, że siedzi naprzeciwko, staje się to najbardziej niewybaczalnym kłamstwem, ponieważ zachęca do dalszej twórczości, a w ostatecznym rozrachunku, jest to najgorszy sposób zmarnowania sobie życia przez człowieka pozbawionego talentu. Jednak wielu ludzi tak właśnie postępuje, zwłaszcza rodzina i przyjaciele.* Przez lata całe karmiono niewydarzonych autorów łgarstwem wpędzając ich w frustrację, kompleksy, czasem

w furję. A przecież świat jest taki piękny i tyle w nim do zrobienia... Niekoniecznie przy pomocy pióra, (teraz raczej komputerowej klawiatury) czy innego narzędzia tortur nad sobą i bliźnimi.

Jest rolą takiego pisemka jak nasze i jego redaktora prowadzącego wyławianie z toni takich klejnocików, w których choć na moment błyska prawdziwa iskierka talentu. To sztuka trudna i niebezpieczna. Błędy są kosztowne dla obu stron, ale ktoś musi przecież ryzykować. Pomóżcie zatem i przed decyzją o wysłaniu swych twórców pochylcie się nad nimi z powagą i uwagą. Z faktu, że było się dobrym lekarzem, inżynierem czy pedagogiem wcale nie wynika, że będzie się również dobrym poetą. Poezja niewiele ma wspólnego z demokracją i sprawiedliwością społeczną. Talentami natura obdziela kapryśnie, bez sensu, ładu i składu. Jest wielką sztuką umiejętność znalezienia ich w sobie, właściwego określenia i wykorzystania na koniec. Jeśli jest co eksploatować, ma się rozumieć.